

Piotr Zaremba: Odwet nie jest dobrym doradcą

Konserwatywni buntownicy nagle zmienieni w nadzorców nowej rzeczywistości mają poczucie, że walczą o coś ważnego. Słuszne poczucie. Tyle że smakują w odwecie, a on nie jest dobrym doradcą. I rezygnują z podstawowych wartości takich jak przestrzeganie standardów, kiedyś deptanych przez drugą stronę – pisze Piotr Zaremba w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Powrót polityczności.

Teologia Polityczna poprosiła mnie o tekst na temat sposobu w jaki Polacy dyskutują dziś ze sobą o polityce. Jeszcze miesiąc temu wyglądałby on trochę inaczej. Teraz gdy do niego zasiadłem, przypomniał mi się wywiad prof. Andrzeja Zybertowicza dla portalu Dziennik.pl.

„Społeczeństwo i politycy nie dorośli do pluralizmu” – już ten tytuł okazał się dla wielu mylący. Niektórzy moi znajomi oskarżyli profesora, doradcę prezydenta Dudy, związanego generalnie z obozem rządzącym o to, że ogłasza to samo co kiedyś profesor Geremek, ba że pochwała zawieszenie demokracji na kołku, wieści zamordyzm. To oczywiście nieporozumienie.

Nota bene nawet ta pochochność w przypisywaniu komuś intencji, które nawet nie przyszły mu do głowy, jest typowa dla naszych „debat”. W rzeczywistości Zybertowicz narzekał na „niską odporność emocjonalną

na różnorodność” Polaków. I adresował to także do swojej strony, ba namawiał ją do uderzenia się w piersi. Co więcej, profesor powiązał problem z ostatnim frontalnym starciem w sprawie sądów. I zarzucił również obozowi dobrej zmiany niezdolność do rozmowy już nie tylko z opozycją, a ze zbyt krytycznymi ludźmi z własnych szeregów. To znamieny głos. Zarazem, pomimo autorytetu, jakim cieszy się osoba, z której ust pada, on nie ma szans niczego zmienić.

Zapewne także z powodu natury dzisiejszej społecznej komunikacji. To straszny banał, ale język Internetu przesądza o wielu podstawowych dewiacjach komunikowania się. W świecie, gdzie każdy może być sam dla siebie komentatorem, ba dostarczycielem informacji, nie istnieje ostre rozróżnienie powagi od niepowagi, sensu od bezsensu, a w końcu i prawdy od fejku.

Nie ma już dziś w praktyce w pełni poważnych mediów (poza niszowymi), choć są jeszcze poważni autorzy. Nie ma ich w Polsce, bo na Zachodzie ten proces jest hamowany przez siłę tradycji i ciągłość instytucji. Wyścig na radykalizm języka podjęty jeszcze pod koniec poprzedniej dekady przede wszystkim pisma i portale antyprawicowe. Wtedy z celem głównie politycznym: spetryfikowania społecznej i intelektualnej hierarchii za pomocą inwektyw.

To Tomasz Lis był prekursorem hejterskich okładek, w czasach kiedy większość prawicowców próbowała jeszcze dzielić włos na czworo. Ale dziś wszyscy są podobni do siebie, także z powodu samej natury rynku. Szefowie marniejących tytułów przyciągają najbardziej radykalną

publikę nieustającym alarmem. Z ich punktu widzenia w Polsce nigdy nie zapanuje spokój. Przeciwnie, walka klasowa zaostrza się w miarę budowania socjalizmu.

Nie mogą się już nawet ograniczać do produkowania emocji, bo te każdy może sobie wyprodukować sam. Muszą się posuwać do produkowania całej rzeczywistości dając czytelnikom czy widzom poczucie, że dowiadują się czegoś ekskluzywnego. Ta technika pełni się także po „naszej” stronie. Obrazowi spokojnych manifestacji przed Sejmem towarzyszyły ostatnimi czasy opowieści o wściekłych bojówkach, przyszłym puczu i terrorystycznym zagrożeniu.

Ale i w tym przypadku lewicowa i liberalna opozycja była co najmniej współsprawcą takiego stanu rzeczy. Jej gołosłowne komunikaty o niszczeniu demokracji, ba rodzącym się faszyzmie, odebrały słowom jakikolwiek sens, zanim spór realny w ogóle się na dobre rozpoczął. I dziś zresztą „Gazeta Wyborcza” podnosi poziom debaty debatując ze... Stefanem Niesiołowskim. Przy czym prowadzący rozmowę „dziennikarz” przebija rozchwianego emocjonalnie polityka wieszcząc, że na polskich ulicach powtarza się... rok 1968.

Internet nadaje tym wymianom „myśli” postać chaosu i pozory spontaniczności. W jakiejś mierze przedsiębiorczy naczelnicy i zarabiający ciskaniem inwektyw „komentatorzy” mogą znaleźć dla siebie usprawiedliwienie. W dobie kryzysu tradycyjnych mediów i rozproszenia pieniędzy na internetowym rynku, jeśli nie będą tego robić oni, zrobią to sami ludzie (oraz komunikujący się z nimi bez

medialnego pośrednika politycy czy polityczno-medialni celebryci). Rozmawiamy dziś coraz częściej przy użyciu już nawet nie krótkich komentarzy, a memów, a te może sobie stworzyć każdy.

Zarazem zorganizowanej medialnej aktywności daleko od improwizacji. Przeciwnie, odbywa się w rytmie najróżniejszych interesów. Za plotkami i kampaniami stoją PR-owcy za plecami dziennikarzy i PR-owcy przebrani za dziennikarzy. A wrzucać owe plotki i organizować kampanie łatwo – gdy wobec politycznej polaryzacji zanikło pojęcie obiektywnej prawdy i realnej rzeczywistości.

Prawica długi czas demaskowała te dewiacje. Dziś korzysta z nich równie chętnie jak dawny mainstream. Sprzyja temu przechwycenie resztek rynku medialnego przez świat polityki.

W świecie, gdzie każda ze stron tworzy sobie własną zrytualizowaną rzeczywistość, coraz mniej miejsca jest dla tych którzy po prostu myślą

I znowu – drogę przetarły poprzednie elity. Dawne gazety były uzależnione przez lata od platformerskich rządów rozlicznymi budżetowymi

kroplówkami – co pozwalało przedstawiać słabszą prawicową konkurencję jako „nieudaczników”. Ale dziś, kiedy dawne kroplówki odłączono i zastąpiono nowymi, prawicowe gazety i portale grają z politykami równie chętnie, i chyba nawet bardziej spójnie niż poprzednicy „z tamtej strony”. „Spontaniczne” kampanie są na ogół koordynowane ze strategią partii rządzącej – jednego dnia ekscytujemy

się chomikowanymi przez TVP mającymi dziś wartość historyczną taśmami, drugiego zajmiemy się kimś, kto wojuje z naszymi patronami. Takiego uzależnienia unikają nieliczni – po obu stronach.

Ale to oczywiście tylko część prawdy, gdy próbujemy odpowiedzieć na pytanie prof. Zybertowicza o „niską odporność emocjonalną na różnorodność”. Tak niską, że obie strony często zakładają pełną delegitymizację potężnych grup ludzi myślących inaczej, a nawet odmawiają im prawa do istnienia. Polityczna polaryzacja w tak drastycznej postaci nie wynika w Polsce tylko z tego, że na twitterze odpowiada się ułamkami zdań, więc łatwiej kogoś zwymyślać niż odeprzeć jego argumenty własnymi.

Po drugiej stronie także pojawił się głos. Karolina Wigura, komentatorka Kultury Liberalnej zaproponowała swoim kolegom na łamach Dziennika Gazety Prawnej prostą myślową operację: piętnujmy nadużycia PiS, ale uznajmy prawo konserwatystów do sprawowania rządów w tym kraju, tak można by streścić jej pogląd.

Powiedziałbym: słusznie, ale o wiele za późno. I skądinąd bez oddźwięku we własnym obozie. Zjawisko wieloletniego spychania konserwatywnych, katolickich, patriotycznych czy jakkolwiek politycznie niepoprawnych poglądów do medialnego i społecznego czyścica owocuje dziś potężnym, wielonurtowym odwetem. Ludzie, którzy przez lata mieli monopol na ośmieszanie i delegitymizowanie są teraz, wraz z osłabieniem ich finansowego zaplecza, poniżani i przeganiani.

Niestety wraz z nimi często przeganiana jest minimalna otwartość na inne poglądy od własnych, a i zwykła kultura. Produktem jest cała fala zjawisk – od eksplozji niepoprawnych politycznie, ale też często prostackich, opinii ulicy po cyniczne występy ludzi, którzy wiedzą, że aby się wybić, wystarczy jak najgłośniej wyklinać to, co zaledwie wczoraj było pod ochroną.

A zarazem w naszych kłótniach znajdują swoje odzwierciedlenie wszystkie współczesne dylematy: pytania o globalizację i państwo narodowe, o kształt Europy, rolę religii i tradycji. W przypadku Polski także nierozstrzygnięte spory, choćby o nierozliczenie PRL-u, choć one mają, w moim przekonaniu, znaczenie głównie symboliczne. Ułatwiają tożsamościową identyfikację.

Konserwatywni buntownicy nagle zmienieni w nadzorców nowej rzeczywistości mają poczucie, że walczą o coś ważnego. Słuszne poczucie. Tyle że smakują w odwecie, a on nie jest dobrym doradcą. I rezygnują z podstawowych wartości takich jak przestrzeganie standardów, kiedyś deptanych przez drugą stronę. Także jak otwarta dyskusja. Stąd zresztą dyskomfort przywołanych przez Zybertowicza „dysydentów”. W świecie, gdzie każda ze stron tworzy sobie własną zrytualizowaną rzeczywistość, coraz mniej miejsca dla tych którzy po prostu myślą.

Dzięki temu media dzisiejszej epoki nie informują nawet swoich. Te manifestacje „w obronie sądów” różniły się od poprzednich zlotów KOD-owskich, skupiały młodszych ludzi, miały naprawdę wolnościowy charakter. Politycy prawicy nie dowiedzą się tego jednak od własnych

dziennikarzy. Obraz „ubeckich wdów” wystarczy. Podobnie wcześniej przez lata media mainstreamu preparowały jednostajnie wściekły obraz prawicy.

Oczywiście dawne elity jak Burboni – niczego się nie nauczyły. Długo zatykany garnek eksplodował i mocno ich poparzyło. Wniosek jeden: trzeba było lepiej pilnować, przy pomocy sił zewnętrznych, a do niczego by nie doszło. Tacy ludzie nie budzą we mnie współczucia. Niepokój budzi za to Polska, w której ład budowany jest dziś w warunkach jakiejś karykaturalnej gorączki.

PiS dostał w poprzedniej kadencji radę: „Jak wygracie wybory, to sobie wszystko przegłosujecie”. I postępuje teraz za tymi słowami – Niesiołowskiego, ale oklaskiwanymi przez Michnika czy Lisa – z naddatkiem.

Ponieważ po wygranych przez tę partię wyborach, takie głosy jak Karoliny Wigury się nie pojawiały, wiele obecnych zmian można rozpatrywać w kategoriach zabezpieczeń. Kręgi kierownicze PiS, gdy odmawiano im moralnego prawa do rządzenia, zostały utwierdzone w przekonaniu, że dotarły do Armageddonu, pola ostatecznej bitwy dobra ze złem. I w związku z tym trzeba świeżo zdobytą władzę dodatkowo obwarować. Gruntowną przebudową już nawet nie tylko instytucji publicznych, ale całego społeczeństwa.

W efekcie PiS robi sensowne rzeczy (od 500 plus po uszczelnienie systemu podatkowego), ale najwięcej energii zużywa na wojnę o narzędzia władzy. Od pierwszej chwili (Trybunał Konstytucyjny, służba

cywilna), ale po dwóch latach batalię nasila zamiast ją wygaszać.

Możliwe zresztą, że wątek „zabezpieczenia” nie jest jedynym powodem. Wojna z prawnikami czy mediami wynika z ugruntowanych poglądów Jarosława Kaczyńskiego. On uważa, że należy zastąpić prawniczą kontrolę wolą polityczną i sądzi, że także media są wyrazicielami tej woli, a nie obywatelskiej misji. Za tymi mniemaniami stoją trafne obserwacje. Ale zastosowanie ich w stu procentach grozi państwem partyjnym. Platforma próbowała je budować konserwowaniem dotychczasowych instytucji, ale można je też powołać do życia ich burzeniem.

W każdym razie poczucie zagrożenia pozwala usprawiedliwiać się przed wyborcami. „Nie dają nam” – ten motyw wyziera z coraz bardziej szaleńcych debat w sieci.

Ustawę o Krajowej Radzie Sądownictwa Zbigniew Ziobro napisał naprawdę tak, że jej głównym celem było nie znalezienie lepszych sędziów, a uzależnienie polityki kadrowej w sądownictwie od obozu rządzącego. Jesień przyniesie nowe bitwy. Kaczyński już zapowiedział operację „dekoncentracji mediów”. W prawnych ograniczeniach dla medialnych monopolistów nie ma nic złego. Ale jeśli celem jest przymusowe wykupywanie gazet przez państwowe firmy i takie ich przekształcenie, jakie dotknęły TVP (w narzędzie propagandy), czarno to widzę. Władza publiczna nie powinna budować rynku mediów pod siebie.

Na sensowną dyskusję wokół tych priorytetów nie ma miejsca. Jedni kibicują, inni rzucają się pod koła. Ośrodki, które mogłyby złagodzić efekty operacji walcem (prezydent, Kościół) są chyba zbyt słabe. A co na końcu tej drogi? Coś co będzie mieszaniną rozwiązań obsługujących doraźne interesy rządzących, oraz – wobec skali oporu – także nieuniknionego chaosu? Całkiem to możliwe. I smutne.

I pisze to nie żaden symetrysta, a człowiek który jest zwolennikiem 80, może 90 procent pisowskiej agendy.